

Marian Filar

"21"

Palestra 38/9-10(441-442), 96-98

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Co piszczy w prawie

Marian Filar

■ „21”

W mych rodzinnych stronach mawiało się o tym, który w naiwny sposób dał się „wykołować” sprytniejszemu, iż „zrobili go (na szaro) jak chłopa w sądzie”. To dosadne ludowe porzekadło jest w swej istocie głęboko zakorzenione w filozofii prawa. Upraszczać sprawę (co niech wybaczą mi moi akademicy koledzy) można by powiedzieć, iż ścierają się w nim dwa sposoby widzenia systemu prawa i jego funkcji.

Pierwszy, wywodzący się z prawa rzymskiego, to logiczny i konsekwentny system urządzeń prawnych, ściśle dopasowany do określonych sfer stosunków społecznych. To system prawny sformalizowany (niekiedy chyba aż do przesady, jak w przypadku tzw. rzymskiego procesu formułkowego), w którym każdej dziedzinie życia społecznego przynależała ściśle określona gałąź prawa z typową dla Rzymian ambicją, trochę zresztą utopijną, by całe społeczne życie ściśle uregulować i zamknąć w prawne ramy. To widzenie systemu prawa legło u podstaw filozofii tzw. państwa prawnego, typowego dla europejskich demokracji powstałych na racjonalistycznej i praworządnościowej fali Oświecenia.

Drugi nie zrodził się bynajmniej nad Tybrem, choć jego źródła trudno precyzyjnie ustalić. Pewne jest natomiast, że szczególnie „twórczo” rozwinął się on

nad pewną znacznie chłodniejszą rzeką, w której z lubością przegląda się zorza polarna. Jej twórczy promotor – Włodzimierz Ilicz – ideę państwa prawnego uważał po prostu za plód drobnomieszczańskiego sentymentalizmu. Choć sam prawnik z wykształcenia (co prawda, jakbyśmy to dziś powiedzieli, uzyskane go w trybie zaocznym) podziwiał raczej sprawność rzymskich legionów niż wyrefinowaną konstrukcję prawa rzymskiego. Ilicz po prostu uczynił prawo narzędziem walki klasowej, środkiem dla osiągnięcia określonych celów. To czysto instrumentalne pojmowanie prawa (na kształt przysłowiowego kija na psa, który w razie potrzeby zawsze jest do znalezienia, powodowało, iż było obojętne, czy to kij z dębu czy brzozy, czy wystrugany został, by pełnić rolę trzonka do grabi, czy kołka w płocie. Ważne było jedynie, aby w razie potrzeby skutecznie zdzielić nim nieposłusznego czworonoga. Nic nie rozpow szechnia się tak szybko jak złe przykłady. Jeszcze pod koniec lat 60. w nieco purytańskiej jeszcze podówczas Ameryce, która zresztą w swym sposobie myślenia o prawie zawsze stawiała raczej na pragmatyzm niż na kultywowanie zasad, nieszczęsnym transseksualistom, noszącym kobiecy makijaż, „dobierano się do skóry” wykorzystując pochodzące jeszcze z połowy XIX w. przepisy zabraniające pojawiania się na

drodze publicznej z pomalowaną twarzą. Nikt nie przejmował się, że przepisy te wydano dla ochrony federalnych poborców podatkowych, na których napadali (wtedy też nikt nie lubił podatków) farmerzy przebrani dla kamuflażu za Indian, z pomalowanymi jak na Indian przystało twarzami. Ba, niektórzy prokuratorzy grozili amerykańskim chirurgom dokonującym na owych nieszczęśnikach (transseksualistach a nie Indianach) tzw. operacji adaptujących, odpowiedzialnością karną na podstawie pochodzącego jeszcze z czasów Henryka VIII tzw. statutu o okaleczeniu, w którym wojowniczy król, chcąc zapobiec samouszkodzeniom mającym na celu uchylanie się od służby wojskowej, zabronił „zabiegów chirurgicznych” uszkadzających części ciała umożliwiające prowadzenie walki. W Stanach nikt nie przejmował się faktem, że część ciała padająca w tym przypadku ofiarą chirurgicznego noża z najwyższym trudem da się zakwalifikować jako „umożliwiająca prowadzenie walki”. Był pies, trzeba było znaleźć kij.

Mimo wszystko nawet pragmatyczni z definicji Amerykanie mają dla własnego prawa większy szacunek niż nasz „zaoczniak” znad zimnej Newy. Dlatego też uważają, że niedopuszczalne jest stosowanie w prawie tzw. *dirty tricks* – brudnych trików będących ucieleśnieniem owego kija na psa, czy też „zrobienia kogoś na szaro jak chłopa w sądzie”. Problem powyższy zyskuje dziś szczególną aktualność w naszych realiach, gdy dość często miotamy się bezradnie między wariantem „państwa prawnego” a amerykańskim pragmatyzmem. Ba, na dodatek nie jestem pewien, czy nie uchowali się jeszcze nadal zwolennicy prawa à la Wołodia!

Podajmy tylko jeden z przykładów. Mniej więcej przed rokiem wprowadzono u nas z pompą i w aurze cudownego środka na bezpieczeństwo w ruchu drogowym sławetne „oczko” dla niesfornych kierowców. Choć, jak to u nas bywa, zapomniano przy tym o „drobiazgu” – skutecznym mechanizmie egzekucji owych nieszczęśnych 21 punktów, co czyni w istocie cały system praktycznie niewydolnym. Ale nie o tym chciałbym pisać. 99,9 procent kierowców narusza bowiem przepisy drogowe nie dlatego, że ich nie zna, lecz dlatego, że je lekceważy. Dla lekceważących przepisy, co w konsekwencji powodować może istotne zagrożenie dla danej sfery stosunków społecznych, każdy normalny system prawny przewiduje sankcje o penalnym charakterze. Zakres dolegliwości tych sankcji może być co prawda, jak to jest w przypadku każdego katalogu sankcji, zróżnicowany: od sankcji łagodnych, do surowych. Wybór między tymi sankcjami zależy od ciężkości naruszenia oraz od jego częstotliwości. Dopuszcisz się poważnego wykroczenia lub wykroczenia w „recydywie”, sankcja jest surowsza. To typowy mechanizm prawa karnego lub mówiąc szerzej „prawa karzącego”.

Kwalifikacje do prowadzenia pojazdów mechanicznych potwierdzane są w Polsce (i nie tylko) dokumentem wydanym przez władzę administracyjną, w administracyjnym trybie zwanym prawem jazdy. Oczywiście, kwalifikacje te można utracić. Można oślepnąć, ogłuchnąć, stać się nałogowym alkoholikiem. Wtedy władza administracyjna w trybie przewidzianym w prawie administracyjnym uprawnienia takie może cofnąć, co nie ma nic wspólnego z karą. Kierowa-

nie jednak w administracyjnym trybie na ponowny egzamin „za karę”?! No bo nie róbmy sobie złudzeń – koszty egzaminu, stres, przecież o karę właśnie tu chodzi! Toć jest w tym taka sama logika, jak np. w kierowaniu męża zdradzającego żonę na dodatkowy ślub ze swą połowicą i to jeszcze koniecznie połączony z kosztowną ucztą weselną! Toć, na miły Bóg, figlarz ów nie utracił zdolności do bycia małżonkiem, ba, w pewnym sensie je dodatkowo potwierdził. On tylko lekceważy sobie małżeńskie zobowiązania.

Kto lekceważy przepisy drogowe, narażając nas wszystkich na niedogodności, a nawet poważne niebezpieczeństwo, powinien być ukarany, być może i surowo. Ale egzamin za karę? Klasyczna kara o jednoznacznie delegliwościo-penalnym charakterze w trybie administracyjnym? Toć każda gałąź prawa ma swoją specyfikę, wewnętrzną logikę i służy określonym celom. Nie można na tym dowolnie żonglować, jeśli nam ma być bliżej do Rzymian niż do Ilicza. Ale to jest właśnie pytanie?!